

I część: krzyż człowieczy



KRZYSZTOF KAMIL BACZYŃSKI

I część: krzyż człowieka

[Pod nieba dłoniastą palmą nie daj mi chodzić samotnie...]

Pod nieba dłoniastą palmą nie daj mi chodzić samotnie,
Agni¹.

Otwórz rzeki, a sosny krzykiem z ognia i wiosny
podpal i nagnij.

W jakie zimy prowadzisz, jakich kolęd słuchać
śmiertelnych?

Otom jest syn wygnany z ziemi niepoznanej,
niewiernej.

Obco mi niebo czarne i białe zawieszasz
nad czas samotny;

oceany z kamienia, w które się przemieniam
jak w lodach okręt.

Nad dniem ostatnim stawiasz mi długie, woskowe
świec rzędy,

które są stare drzewa, kiedy w portów brzegach
rzą argonauckie² okręty.

Odbierz mi ziemię, miłość rozumną oderwij
i porwij

spośród umarłych rzeczy, gdzie dojrzewa wieczór
o woni morwy.

Daj mi konia, o Agni, z żółtych, strasznych płomieni
i białych,

bo oto spadam — owoc w grób ziemi pod sobą
dojrzały.

Śmierć, Ogień

3 grudzień 1940 r.

Pieśń o ciemności

Sny leżą na mnie warując milczenia
jak lwy z pomników co warują śmierci

¹Agni (mit.) — bóg ognia w religii wedyjskiej. [przypis edytorski]

²argonaucki (mit. gr.) — związany z argonautami, tj. bohaterami, którzy pod przewodnictwem Jazona wyruszyli do Kolchidy po złote runo; byli to m.in. Herakles, Tezeusz, Orfeusz, Kastor i Polluks. [przypis edytorski]

i liść opada czasem, śnieg, albo i obłok,
albo ptaków pióropusz wzbije się i przyjdzie.
I niebo stoi. Wtedy mam podobną
twarz do nieba, choć cienia niema w niej, ni żalu
słyszę jak się sodomy w cichym trzasku palą.
O nie sędzią ja czekam! Dzień płonie jak listek
na płytę pieca opadły i zwija
sieć żyłek delikatną, a z nim giną wszystkie
chwile nerwem łączone. Noc i dzień przemija.
I w katakumbach czasu od sklepień odbija
głos, może napomnienie, może bitwa walna —
— wszystko nierozróżnione i rozdarte wszystko.
I noc przechodzi górą jak śmierć — triumfalna
i spływa obraz do mór wrzących pysków.

W huku werbli, w burz wrzawie, w łoskocie pokoleń
idą chłopcy o oczach z największych przeznaczeń,
idą, aż za daleko przechodzą — do ziemi,
idą, kiedy za nimi świt nie zapłacze
mlekiem błękitnym. I tak stygną z niemi
i przechodzą żelazem — karty czarnej ziemi.

A tyle rzeczy czeka jak spod dłoni — nowych
na nadawanie imion. Jak zwierzęta stoją,
tak smutnieją mijane i schylają głowy,
aby przeżuwać zapomnienia zmierzch.

O zatrzymać! Płacz milknie. Znów przywała grób,
znów sen się kładzie głazem mruczący jak lew
i niebo jak kolumna. Stygnie w urnach krew,
a burza ciężko pełźnie nad doliną.

Noc. Po nocy powstają upiory i z ciała
wychodzą, aby truć oczy i zmieniać je w popiół,
aby smutnym dziewczynkom twarz jak orzech gnieść,
i słuchać w płaczu cichym zwycięstwa i śmiechu
swojej strasznej postaci jak uschnięty badyl
natchniony śmiercią, lub serc wodospadem,
który się w ciemność toczy. Znowu dym spowija
i snem przybitą leżąc umieram. Wiek mija.

O! Zatrzymać! Milczenie. Widzę jeszcze ludy
i naród pod kopułą, gdzie szalone wozy
wypruwają z obłoków deszcze krwawych nożyc.
I pada mór i ludzie wypłoszeni
do bram łomoczą, a bramy z kamieni
więc przypadają do stóp drżącej ziemi,
a ta otwiera paszcze, całuje i wchłania,
a niebo drga, nie woła żaden głos.

Milczenie. Sny ziewają. Puszcze płyną górą
i leżą tak, a w dłoniach kolumny z marmuru
wbite warują ciszy. Nie przychodzi śmierć
i tylko niebo błyszczący oparte o pierś,

a ciało jeszcze raz zmienia się w sypki popiół.

Pieśń o klęsce

Mija godzina, która nie na tarczy:
ciało zmienia się w popiół, a wzrok w olów.
Łez na powstanie z martwych nie starczy:
poznanie — koło.

To tylko ziemia gaśnie — kula pusta,
na której Bóg rozdarty tysiącem szatanów chodzi —
— tysiącem ludzi. Zieją kamienne lustra,
barwa nie rodzi.

To z wysokości, czy z grobu widziana
urna spełnienia jest wzgórzem skorup.
O drzewo! drzewo! Czyś tylko trumną
pod ruchów korą?

Tak się w pogardzie odosobniony
przestaje czuwać w śnie i godzinie.
Jeszcze ton przejdzie, nie będąc tonem,
przechodząc — minie.

Jeszcze łodygi zielone co w tobie
jak kolumnady pułapu rosły
są u zsiniałych wód po potopie
strzaskanym wiosłem.

Jeszcze lzy płynąc staną się gromem
co serc naczyńmiom grającym tobie
rozbije obraz; nigdy zielone,
nigdy na grobie.

I nad żyjącym żadna przyczyna
i żaden koniec. Popiół i droga,
bo głosy kłątwy w pogardzie wszczęte
nie głosem Boga.

O drzewo! drzewo! mija godzina,
a czas jej wiekiem.
Drzewo przeklęte w nieznanym winach
jakżeś człowiekiem?

Spojrzenie

Nic nie powróci. Oto czasy
już zapomniane; tylko w lustrach
zsiada się ciemność w moje własne
odbicia — jakże zła i pusta.

O znam, na pamięć znam i nie chcę
powtórzyć, naprzód znać nie mogę
moich postaci. Tak umieram
z pół-objawionym w ustach Bogiem.

Przemiana

I teraz znów siedzimy kołem,
i planet dudni deszcz — o mury,
i ciężki wzrok jak sznur nad stołem,
i stoją ciszy chmury.

I jeden z nas — to jestem ja,
którym pokochał. Świat mi rozkwitł
jak wielki obłok, ogień w snach
i tak jak drzewo jestem — prosty.

Miłość

A drugi z nas — to jestem ja,
którym nienawiść drżącą poczęł,
i nóż mi błyska, to nie łza,
z drętwych jak woda oczu.

Nienawiść

A trzeci z nas — to jestem ja
odbity w wyplakanych łzach,
i ból mój jest jak wielka ciemność.

Cierpienie

I czwarty ten, którego znam,
który nauczę znów pokory
te moje czasy nadaremne
i serce moje bardzo chore
na śmierć, która się lęgnie we mnie.

18 X 1943

Rycerz

W noc zjeżoną kwiatami martwego powietrza
nie nasłuchuj, nie jadą rycerze
w zbrojach blasku, w kaskach na wietrze
rozwiewających kity płomieni, a miecze
obronie słabych — tylko w pochwach rdzawych
albo zalane płaszczyznami śniegu,
albo jak gwiazdy pogubione w biegu.

Rycerz

Witaj, a nie płacz mi. Ja zawsze senny,
w nocy skrojony na kształt owych dawnych,
idę w pochodach, w cieniach jak sam ciemnych
i nigdy znaleziony, nigdy wiarą sławny,
a tylko ręce wspieram o ten słup z przestrzeni.
Gram. Jestem rycerz — Boga zamyślenie.

Ach, lądy jak pióropusz dymu ogień wzbija.
Mijam morza rozległe jak błyszczące ryby.
Gwiazdy spadają w ciszę. Psy przed domem wyją
i złote deszcze iskier — jak żuki o szyby.
I czegoż ja dostanę, czegoż pragnę jeszcze,
zamarzły w lodem martwą, niebieskawą przestrzeń?

A szukają i złota, i chleba, szukają,
choć jak krety korzeni, które w słońcu rosą
kwiatami czy rudawą o zachodzie sosną,

i zawsze kopiąc tak — nad ziemię nie dostają.
I podkopując tak — są złej planety jękiem
pod tym pułapem, co jest światła dźwiękiem.

Ja wierząc tak w umarłych żywym obcowanie
i poznając — do krzywdy przykładam miecz rdzawy,
który jest krzywdzie miłość — rozpoznanie
i jest jak pod stopami szatana — kłos trawy,
a choć znam płomień zakłęb jak piorun wśród ciszy,
nie zawołam — w mórz szumie nikt go nie usłyszy.

I tak przez ciało czekam, choć ognia potopy
niby wojsk krwawych skrzydła ciągną czarnym stropem.
I jestem. Czym ja jestem? Wierzący przez małość —
rycerz gór zapomnianych — w zmartwychwstałe ciało.

Ciało

dn. 21 lutego 1942 r.

Żal

Pozcinano drzewa światowidom,
ścięto głowy buntom dziecięcym,
bo nie przyjdą anioły z ptasich puchów, nie przyjdą.
Oto nóż szafotów do chleba. Cóż więcej?

Zatroskane madonny mdleją
jakbyś podniósł ziemi upiorną powiekę
więc żal mi, żal, bo świat to żal
za utraconym człowiekiem.

luty 41 r.

Z szopką

Górą białe konie przeszły,
trop dymiący w kłębach stanął,
w gwiazdach płoną cicho trzeszczy
wigilijne siano.
Spoza gór czy sponad ziemi
anioł biały? kruchy mróz?
starcy w niebo nachyleni?
Anioł biały szopkę niósł.

Anioł, Ciało, Święto,
Narodziny, Chrystus,
Religia

*

Zamknąć tak — to ironicznie —
w daszek gwiazdom pobielanym,
płomień wieków i człowieka
w tekturowe cztery ściany.
Zamknąć tak — to z odległości —

w dwie figurki — czarną, białą,
rozdeptanych epok kości
i spalone żądzą ciało.

*

W naprężone kusze burz
anioł biały — szopkę niósł.

*

A figurki w męce gasnąc
coraz słabły, zanikały
w napowietrzną gwiazdy jasność,
tekturowo — popielają.

Śmiał się anioł półuśmiechem
z ich uporu, a nie grzechu,
że tak jedni — choć ich stu.

*

Anioł biały szopkę niósł.

Anioł, Trup, Ciało, Śmierć

*

Aż na grudzie stopą lekką;
stał niby mgłą i skałą.
i koślawe, głodem ścięte
ujrzał w grudę wbite — ciało,
żeber czarnych łuki, spięte,
poskręcane rydle rąk,
brzuch jak bęben życia — wzdęty,
brzuch zsiniały, brzuch jak tłok,
I zawrócił. W nieba plusk
poczerniałą szopkę niósł.

z XII 41 r.

Historia

Arkebuzy³ dymiące jeszcze widzę,
jakby to wczoraj u głowic lont spłonął
i kanonier jeszcze rękę trzymał,
gdzie dziś wyrasta liść zielony.
W błękicie powietrza jeszcze te miejsca puste,
gdzie brak dłoni i rapierów śpiewu,
gdzie teraz dzbany wrzące jak usta

Broń
Historia, Wojna, Walka,
Żołnierz, Wspomnienia

³arkebuz — daw. broń palna, gładkolufowa, z zamkiem lontowym, używana w XV–XVII w., np. przez hiszpańskich konkwistadorów. [przypis edytorski]

pełne, kipiące od gniewu.
Ach, pułki kolorowe, kity u czaka,
pożegnania wiotkie jak motyl świtu
i rzęs trzepot, śpiew ptaka,
pożegnane ptaka w ogrodzie.
Nie to, że marzyć, bo marzyć krew,
to krew ta sama spod kity czy hełmu.
Czas tylko warczy jak lew
przeciągając obłoków wełną.

Krew, Historia

Czas

Placz, matko, kochanko, przebacz,
bo nie anioł, nie anioł prowadzi.
Wy te same drżące u nieba,
wy te same róże sadzić jak głos
na grobach przyjdziecie i dłonią
odgarniecie wspomnienia i liście jak włos
siwiejący na płytach płaskich.

Grób, Kobieta, Pamięć

Idą, idą pochody, dokąd idą,
których prowadzi jak wygnanców łaski
ład krążący po niebie. A może
niebo po łądzie dmące piaskiem
tak kształt ich zasypuje. Jak noże
giną w chleb pogrążone — tak oni
z wolna spływają. Piach ich pokrywa.

Przemijanie, Żołnierz

Jeszcze słycać śpiew i rżenie koni.

8 III 1942

Starość

Otom szary od pyłu tylu wieków,
a zawsze na osiodłanej chmurze.
To sny te miasta wołające: «Człowieku!»,
to rzeczywistość: kiedy oczy zmruję.

Otom tak w drodze długiej zmałał,
że sam ledwo widzę swoją postać.
Tylko dudnią szkice elementarnej⁴ chwały.
Śmierć mi wszystkie drogi zarosła.

I coraz mniejszy jestem — jak gwoździak,
ostatni gwoździak — mówią — do własnej trumny.
Trzeba aż tyle nocy płakać z głupoty
i teraz dopiero — mówią — rozumny?

Starość, Mądrość, Głupota

kwiecień/maj 41 r.

⁴elementarny — tu: związany z żywiołami. [przypis edytorski]

Krzyż

Za tych — co batem ścięte liście,
za tych — co ptaki z wosku lane,
tych — co im krew znużeniem tryśnie
i tych — co wbici cieniem w ścianę
i za zwierzęta konające,
którym powoli oczy bledną —

— chciałbyś odrzucić Bogu — życie,
umrzeć raz drugi jak zbawiciel;

ale zawarty tobie upływ
krwi, i związane ręce w supły,
bo ty nie twórczym niepokojem,
a tylko, że się patrzeć boisz.

25 listopad 41 r.

Dzień sądu

Każdy dzień jest dniem sądu bez kary
jak w niepamięć idące pożary
niewidzialny — na ziemi — nisko,
niechwytyany przepala wszystko.
Chociaż dzwonią owoce w uśmiechach
i świątynie wzrastają na grzechach,
choć młodzież wytryska i starość
każdy dzień jest dniem sądu bez kary.
A kto nagle na mchach zobaczy
jakieś tropy jak łuny rozpaczy
i w marmurze, czy ptaku rozpozna,
że stanęła ziemia nieostrożna
zadrży prochem, zadymi pożarem
w nim zobaczy dzień sądu bez kary.

grudzień 41 r.

Elegia (Obłoki lotne, żagle uniesień...)

Obłoki lotne, żagle uniesień, drzew przyjaciele
na nieboskłonach.
Głowa się chyli w ręce chropawe, głowa bolesna,
łakną ramiona.
Ten ptak pod wami przepływający jest moim sercem,
ciemny, wysoki.
Jakże mam uciec do lasów złotych przed niepokojem,
ptaki — obłoki?
Jakże mam wrócić pełen żalości, niedokończony

Smutek

Kondycja ludzka

w lot wasz i płynność?
Dłonie przebite, krzyż za mną idzie,
śmierci powinność.
Tak się ta glina nieurobiona piętrzy, kamieni,
miasta goreją.
Jestem że grobem własnym na ziemi,
własną nadzieją?
Ciche obłoki! znów mnie mijacie, światła płynące,
cienie dalekie.
Wiarą was nazwę. Wy mnie nazwiecie próchnem żalości,
trumną, człowiekiem.

Kondycja ludzka, Śmierć

wrzesień 1942 r.

Psalm 2. O krzyżu

Matce

Nie nadaremnie jest ten krzyż,
który przykuwa trzepot rąk.
Posłuchaj tylko: czas jak mysz
podgryza rozłożysty dąb.

Nie nadaremny jest ten krzyż,
jakby odarty z czaszki mózg,
gdzie tysiącmlotem wieków lży,
tak jakbyś ziemię w dłoniach niósł.

On w miłość, w roli skowyt psi,
on się wyciosa z ciszy snu;
jest u każdego progu dni;
jest, jakbyś ziemię w sercu niósł.

I nie daremny, bo gdy w lustro lęz —
— jak w lustro nieba — śmiercią spojrzysz,
zobaczysz, powiesz: otom jest,
którym się krzyżem w Bogu drażył.

dn. 15. XII. 41 r.

Psalm 3. O łasce

J. Andrzejeowskiemu

Cóż mi, Panie, żem lepszy od cieni? W ich tłumie
ognia Twoich objawień rozróżnić nie umiem
od cieni, które we mnie i wśród których błądząc
jestem sercem ciemności i ciemności żądzą.

Kiedy przeze mnie wołasz, jakże ja ostaję,
kiedym jest sam dla siebie obiecany krajem?
I cóż mi, żem szkatuła, w której nic już więcej
ponad głos w niej zamknięty i złoto uświęceń?

Ja nie okrętem Tobie, bo gdzie by mi unieść
Twój czas nienazywany, Twoje sny — zrozumieć.
Ja sam we śnie płaczący, skuty małym strachem,
przybity niebem znaków jak zwalonym dachem.
Ja sam w tym śnie rzucając ramionami w ciszę,
sam swoich dni nie umiem, swych ramion nie słyszę.

Przywróć mi, Panie, siłę zamyśleń skupionych,
gdzie mimo trwóg świadomość — ręce są jak dzwony
poważne, morzem brzmiące, a światem serdeczne,
co choć w nim, to ponad nim blaskiem — ostateczne

dn. 20. XII. 41 r.

[*O miasto, miasto — Jeruzalem żalu...]*

O miasto, miasto — Jeruzalem żalu,
gdzie wsparte o kolumny — każde drzewo krzyżem
nad cieniem mijającym jak cieniem koralu,
który jak płomień niewidzialny liże
stopy zwycięzców i tych, którzy leżąc
pod płytą blasku, w cień blasku nie wierzą.

Miasto

Miasto niewiary. Czym ty jesteś stojąc
we wszystkich ziemiach, w ognisku i w boju,
czymże ty jesteś i co niesiesz w sobie,
że jesteś na człowieku jak wieniec na grobie
i rodzisz tylko bezgłowe kamienie
i sen, gdzie nie śniąc
nie odwalone jesteś gromów brzemię
i martwą pieśnią.

Sen, sen upiorów, gdzie na kwiatach leżą
ludzie ciosem znużenia padli przed wieczrą,
ludzie u stołów pańskich siadający, którzy
szable spletają w dole, a kwiaty na górze.
Nic nie widzący, w nikogo wpatrzeni,
wielcy na krzywdę ludzką, mali na cierpienie.

Upadający — przez ciało chcąc stanąć
i żagwią⁵ wzniesić pomniki, żagwią umaczną
w ciałach tych, co nie wierząc — nie wiedzą i proszą
i których tylko potem anioły podnoszą
jak liść jesienny w baśni i prostując bożą

⁵żagiew — płonący kawałek drewna. [przypis edytorski]

ręką — tak ukołyszą, aż w Bogu odtworzą.
A ci jak huragany wszczęte wianiem płaszczą
są, choć przez grozę, silni, gdzie armaty paszcza,
gdzie dłoni uderzenie, i tak są zwycięscy
w chwili zbrodni — na wieczność odtworzeni w klęsce.

O wielcy, których siłę nazywają słabość,
bo śpi w nich jak pomruki lawiny i czeka
na czas wiary, na znamię, na grom i człowieka,
na burzę planet, na rzeczy nazwanie.
A że z nich tworzą trumny, co w ziemi zwyciężą,
są zwani słabość, że nie ma oręża,
że nie ma na zwaliskach kwitnącego siola,
że nie rozdepczą małych, bo światło anioła
jest nie przeciw małości, ale obok — znacząc:
wielkość — ciał przerastaniem, nie małych rozpaczą.

Siła

marzec 42 r.

W żalu najczystszy

O, dziecko smutne, o ty zagubiony
w żalu najczystszy za wrót nieomknięciem,
którędy by duch przewiał natchnionym cyklonem
i wiarę święcił.

Ty gdzie odjeżdżasz, coś aniołów widział
w ludziach znużonych, co szli nad strumieniem,
i już odbicia ich ujrzales światłem,
gdy były cieniem?

Gdzie chciałeś wyczuć pod dłonią kształt lawy,
która by w gemmy⁶ zastęgała zwycięstw?
Czy gdzie się bunt nie z ognia, a z małości stawał,
a z pieśni — wyciem?

Czy gdzie się wolność stawała skuwaniem
w imię powstałych, którzy kładli nowe
kajdany, a znużeni nad wiarą czuwaniem,
spadli jak głowy?

Niewola

Czyś ty nie widział, że w słabości wokół
nikt nie dopatrzył do końca przeznaczeń
i że za mały, by stanąć na cokół,
wojownik płacze?

A wiesz, że mędrców i magów spełnienia
to niebo było czynione przez człeka,
by trwał dla celu, szedł jak idzie — cieniem,
czekał jak czeka?

Mądrość

I wiesz, co miłość — jeśli tylko sobie?
Co znaczy przemoc, jeśli tylko zemstą

Przemoc

⁶gemma — kamień szlachetny udekorowany reliefem. [przypis edytorski]

za krzywdy, których nie wydrze i spowiedź,
aż staną klęską.

O, dziecko smutne, ty nie dopełnione
człowiekiem — jakby nie spełnione życiem.
Cóż to rzeźbienie, jeśli tylko w marmur
marmuru ryciem?

Cóż to pod snami jak pod palcem czułym
znajdziesz, gdyś człowiek przez ciało i ruchy,
kiedy cię smutkiem w kamieniu wykuli
najczystsze duchy?

Nie płacz i pojmij prawo, które mija,
i pojmij sen, a tając pojmowanie, uczyn
żywy grom w głazie jak ręka niczyja,
co żyjąc — uczy.

21 III 1942

U niebios rozkwitających

Młody dąb jak woda w górę
tryska. Ptaków jasne koła.
Dotykalna dłoń anioła
dzieli chmurę.

Wąski strumień, wąż roślinny,
ziemię jeszcze raz obejmie,
czas jak obraz z nieba zdejmie,
taki płynny.

Dzbany mleka — ciała żywe
jakże krzepko łączy w owoc
strop wysoki ponad głowę,
chóry lasów tkliwe.

Dana ci ta glina giętka,
oczy z ognia i rozumne
i jak pług dzieląca ręka;
posąg szynisz nią czy trumnę?

W blasku cały postawiony,
nim rozróżnisz blask wszechrzeczy,
z mdłego⁷ ciała cię uleczy
nienawistny, przesądzony.

A mieć ciało, duszę jako
słup żelaza — to nie znaczy
przejsć jak po szkle — po rozpaczy,
ale niebo unieść ptakom,

⁷*mdly* (daw.) — słaby. [przypis edytorski]

ale dom unosić w górę:
mrówczy dom i ludzki kościół,
nazwać wreszcie czas miłością,
dosiąść chmurę.

Wtedyś ziemi pobratany,
kiedy trud największy wzniesiesz,
gdy choć jedno drzewo w lesie
nie odcięte, zbudowane.

Praca

Jakąż w ptaków czas, na gody
szatę włożyć? Może z gwiazdy?
Jakież uśmiech, a przyjazny?
Czapkę chyba z drzew i wody?

A my mali tacy, dumni
u tych niebios pełnych liści,
u tych światel. W nienawiści
na cokole smutnej trumny.

A my tacy we krwi cali,
wciąż bez wstydu — boskie dzieci.
O, niech anioł nie uleci,
nimśmy jeszcze tacy mali.

Krew, Anioł

dn. 30 V 42 r.

[Nie wstydz się tych przelotów...]

Nie wstydz się tych przelotów
pełnych płomieni białych,
tych dźwięków a niestałych,
takich jak w burzy złoto.

One na drzew dotyku,
co stropu sięgać zda się,
są w cichym majestacie
Bogu — muzyką.

I obleczone w pióra
czy w przezroczysty niebyt,
każde są drogą w chmurach
albo po niebie

nazywaniem snów wrzących,
napelnieniem pachnącym
i krwią w powszednim chlebie.

Nie wstydz się cnoty. Ona,
choć jej nadali ciało
zbrodni — toć jej za mało,
czeka nie napelniona

Cnota

jak dzban — to kształt jej nadaj,
niech będzie czynom — waga.

Nie wstydz się wiary w sobie;
ona nie snów głupotą,
ale jak we krwi złoto
i krzew na grobie

wzrasta na tym, co płyta,
co gniecie — nie rozbita.

Nie wstydz się miłowania,
tworzenia, dorastania;
w żelaznej żądy twojej
ona jest płomień nieba,
Co sztabę tak rozgrzewa,

że kując niepokojem
przemienisz w wieżę pragnień,
do której czyn się nagnie.

Otoś mały, a taki
sam sobie jesteś rodzic,
że z głosu nawet — ptakiem
i anioł nawet w głodzie.

Jeno⁸ lotom nie wzbraniaj,
ogniom jeno daj imię,
czas cię wtedy nie minie
możności przerastania,

Bóg, Kondycja ludzka

naczynie miłowania,
tonie w Bogu stawania,
człowieku.

VI 1942 r.

Młot

Matce

Czuję Twój młot przejrzysty — Panie,
który mnie kruszy z nocy w noc,
i wiem: gdy skruszy — zmartwychwstanie
niebieski kłon.

Bóg, Praca

Jesteś jak mistrz-rzemieślnik, który
wykuwa tam, gdzie widzi formy,
i zetnie tam, gdzie gład oporny,
a żywy wzniesie w górę.

I widzę kościół wszechstworzenia:
gotycki łuk po łuku wznosisz,

⁸jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

w powietrzu kując kształty przemian
i słup wielości.

Widzę dojrzałe już i pełne
ptaki i drzewa syte dłuta,
a ja — czy jestem w nieśmiertelność
ból i pokuta?

A ja, czy zawsze niedojrzały,
abym ja — ognia pełen dzban,
tak pod Twym młotem stał się trwały
jak zasklepienie niebem ran?

I pada młot Twój ostateczny,
aż ciało stanie ziemi — puch,
a ja — czym taki posąg-duch,
że mi przez ból — być posąg wieczny?

Cierpienie

17 kwietnia 1942

Serce

Serce jest ptak biały z drzew białych
nieoderwany ptak — jak owoc niedojrzały,
jak nieznamość potęg,

które w kolebach ziemi kołysały
trwogę i miłość nim w ciało stężały,
nim się nie stały młotem.

A teraz młot, a nad nim cóż, gdy bije
o ziemie lodowate, o serca niczyje
cóż nad nim?

Serce ptak biały z drzew nieoderwany
karmiony krwią z Chrystusa pięciorany
wzjeździe, czy spadnie?

Serce ptak biały — nocą lot rozwija
jak wstęgę, albo skrzydła jak kolumny wbija
w ciemność, czy światło?

A kiedy ptakom — ptakiem, ludziom — wiosłem
sobie jest tylko śpiewem niedorosłe
to już odgadłe.

Rzeka

Płyn, ziemio. Góry ciemne. Rzeka wszystko niesie.
Łądy wzdłuż wody pękają. Jak wiosło milczenia
rzeka wszystko podzieli na wiosnę i jesień,
na zimy siwe, pory wszystkich lat.

Rzeka, Lustro, Pamięć,
Przemiana, Przemijanie,
Historia, Czas

Niosą się ptaki, a brzegi tajemne
świat smutku otwierają i radości świat.

To taka waga srebrna, uśmiech nieba w ziemi,
ujrzy nas i uniesie z rękami ciemnymi
od pracy, utrudzonych przygarnie i z odbić
gdzieś na krańcu żywota może się odczyta
nasze twarze milczące. Będziemy podobni
sami swoim odbiciom w niej albo podobni
ciemnościom, które niesie, albo nieskalane
twarze w srebrze zostaną, a niepokonane.

Rzeka

Płyn, ziemio. Długi wieczór i ptaki u lic,
zdaje się, rzęsy trzepot przyjacielskich oczu,
i jaskółki cieniami ciepłymi migocą,
i noc zapada ciężko, i pierzasty świt
podnosi chmur powiekę. Tratwy suną w mrok,
owoce ciężkie niosą; jabłka — jakby grad
burz dostałych⁹ opadły z drzew minionych lat.

Cóż będziemy czynili? Domki na wybrzeżu
jak zabawki czekają na dziecinną dłoń,
a wokół zwierzęta utrudzone leżą
i na biegunach cieni w głąb pastwiska koń —
przebiega. Ludzie oczy unoszą z daleka,
uśmiechają się, ręce w powitania kwiat
wznoszą, jakby mówili: «Płyńcie. Tyle lat».
I z uśmiechem zostają pogodni i sami
z tym sercem rozdzielonym na światło i kamień.

Dzieciństwo

A ta rzeka unosi nie trwając ni chwili,
a czasem takie ręce żelazne unosi,
a czasem w niej westchnienie, co o oddech prosi,
i myją krwawe dłonie ci, którzy zabili.
I czasem łza upadnie, jakby popiół padł
powitaniem: «O płyńcie! Ileż jeszcze lat?».

Rzeka

A to tych ziem spalonych włosy albo dym,
a to skrwawionych chłopców, których ścina kat,
matki ciała obmyją, nim oczy szernieją,
jeszcze rzeka wskrzeszeniem, daremną nadzieją,
albo dziewczątka ciche o oczach z ołowiu,
jakieś serca rozdarte i trumny w niej łowią,
a to przebite ręce upiory zanurzają,
oczy powydzierane jak kamienie dnem
potoczają się, zahuczają, nim się staną różą,
co nad wodą wyrośnie, i jak skrzepla krew
u hełmów złych zwycięzców przypięta — przepali
i będzie jako grot z milczenia i ze stali.

Rzeka, Woda

Płyń rzeka spokojna. Dobra ziemio, płyn,
rzeka wszystko rozdzieli na zbrodnię i czyn
i spokojna, żelazna, uniesie, pogodzi,
dymy splątanych odbić na kwiaty narodzin,
na barki trumien głuchych. Zapomniany głos
jeszcze w niej woła cicho, jeszcze bieli włos

Rzeka

⁹dostały (daw.) — tu: dojrzały. [przypis edytorski]

zapatrzonych na brzegu. Jeszcze trawy długie,
jeszcze jaskółki przetną i zważą powietrze
małym ruchem skrzydeł. Jeszcze westchnie przestrzeń.

Kończy się ciemna rzeka i zapada czas.

9 VII 1942 r.

[Śnieg jak wieko żelazne...]

Śnieg jak wieko żelazne na oczy opadnie.
O! wy bracia w milczeniu moi — niedorośli.
I Bóg mnie nie przypomni, ani mnie odgadnie
z nagrobka przechodzący, aż w tysiącnej wiosnie
może dłoń jakaś biała odgarnie ciemności
i będzie to prawdziwy czas, czas tej miłości,
której u was nie znałem. Bóg — tak sobie marzę —
w błękicie lotnym nieba wyrysował twarze
naszym cierpieniem, niby maski jasne,
które przymierza tym, tym zapomnianym
czasem podobne rysom, a czasem za ciasne,
aż trafi — wtedy krwawe zasklepiają rany
i taka błogość nieba osiada w błękicie,
że wraca czas zbłądzony, choć nie wraca życie.

Znacie wy, znacie te organów knieje
co wyrastają niby skał mocarny obryw
nawet tutaj na ziemi? — To są te nadzieje.
Jeśli w popiele zgrzebnym taki blask podobny
bożym chyba zamysłem przed oczy się jawi —
nic są te ciemne ciała, które zbrodnia trawi,
nic są te dymy czarne, ta kurzawy ciemność.
To wszystko nic. I żadna trumna nadaremno.

Bóg tchnął jasność. On mocą łagodnego wiosła
pchnął fale burz tajemnych i lawy stuleci,
i co woda pobrała — to woda odniosła.
On świecił nad tą wodą i jak zawsze — świeci.
Śnieg jak wieko żelazne na oczy opadnie;
popiół zostanie z żarów miłości i gniewu,
a na ziemi dalekiej żaden czas nie zgadnie,
jak rośnie niewidzialnie łask wszelakich drzewo.

22. XI. 1942 r.

Rzeczy niepokój

Basi

Nie wiem nic. Jest wokoło ten rzeczy niepokój,
który rzeki przesyci i morza obłoków,
który jest sam przez siebie, a ja ponad którym
jestem jak smutne dziecko przenoszące góry.

I nie wiesz nic, i możesz ręce jeszcze
zanurzyć w płynność rzeczy i rzeczy niepokój.
Bo jest w tym jak w tworzeniu z marmuru drzew żywych
(które się same ciosają pod ręką)
coś jak nieuchwycenie w locie złotej grzywy,
jak opadanie — smutne i jak ziemia — piękne.
Jak ziemia, bo ta w trwodze najdalszej wywoła
— i w grobach — jakąś smukłość anielską kościoła.
Więc idź, chociażbyś wiedział, że zmierzasz do grobu,
bo nie w tobie jest trwoga, ale ty przez trwozę.
Bo to nie żądzą wzrasta, ale zapatrzeniem,
jak wierzby, które rosnać w wodzie, rosnać — cieniem.

Wtedy ziemia się skurczy, aż za wąska stopom
będzie chmura — na przekór arkom i potopom.

Tylko ludzie znad trawy — jak krowy — spojrzenie
zwrócą w niepokój rzeczy, w to, co zapatrzenie,
i przez swoją osobność, w to, co gromem śniło,
powiedzą nierozważnie i osobno: miłość.

dn. 12. XII. 41 r.

Wyroki

Basi D.

Nic gruzy. Dwułodygą wyrośnięm,
dwugłosem zielonym światła,
podobni chmurom i sośnie,
kwiatom płynącym na tratwach,
gdy rzeka wilgocią śliska
jest tonem świata — kołyska.

Nic ciemność. Przez nią przepłyniem,
a ręce na niej — promień
w błogosławionym czynie,
w żyjącym gromie,
bo i z krzemienia się śpiewa
wieczność rosnąca — drzewa.

Nic gruzy. Ale ująć
powietrze: tam formy rosnać
z guseł i zaklęć — kołując —
coraz to bliższe. Mocno
w ręce spadają — nieznane,
czasem — niedokonane.

Natura, Ruiny, Odrodzenie,
Miłość

I tak się trzeba im zaprzeć
w ziemię i wiatr, w świetlistość,
by deszczem pocisków lecąc
opadły w dłonie — czysto.
A w ich ulewie rosnać
ptakiem, człowiekiem i sosną.

28 XII 1941

[W każdej przemianie podobna kręgowi czasu...]

Basi

ale ty jesteś drzewo

R. M. Rilke

W każdej przemianie podobna kręgowi czasu,
jak rok obracasz się stojąc i jeszcze stąd
widzę cię na równinach, górach i grzywach lasów,
w które światło nalewasz dzbanem splecionych rąk.
I morzu podobna przenosisz odbicie wszystkich pogód,
które płynęły i grały w mosiężne kotły chmur.
Dłonią poruszysz — jest zimna, uśmiechniesz się — to jesień
ciernie uczyni z głógów wianiem miedzianych piór.
W jabłkach dojrzewasz i zielen wypełniasz żółtym sokiem.
Uchwyć powietrze dłonią — to jesteś każdy krzew
i każdy ptak na modrzewiu
albo muzyki obłokiem
i złotą struną drzew.

Czas

Ach, płoną drwa na kominach i sanie suną w puch,
kot przeciągając się mruży, wzdyma się w gietki łuk.
Ty jesteś w rzece i w każdym ruchu odbity twój uśmiech.
Obudź się śniegiem, polaną, zmień się w danieli róg,
pod wieczór będziesz ciałem i w moim ciebie uśniesz,
a rano znów się obudzę, miną znużeni ludzie,
znajdą na mojej piersi uśpiony biały głóg.

Ciało, Kwiaty

11 luty 1942 r.

[Ty jesteś moje imię i w kształcie, i w przyczynie]

Ty jesteś moje imię i w kształcie, i w przyczynie,
i moje długo lotne.

Twórczość

Ja jestem, zanim minie wiek na koniu-bezczynie,
ptaków i chmur zielonych złotnik.
Ty jesteś we mnie jaskier w chmurze rzeźbiony blaskiem
nad czyn samotny.
Ja z ciebie ulew piaskiem runo burz, co nie gaśnie,
każdym życiem i śmiercią stokratny.
Ty jesteś marmur żywy, przez który kształt mi przybył,
kształt w wichurze o świetle widziany,
który o mleczne szyby buchnął płomieniem grzywy
i zastygł w dłoni jak z gwiazdy odlany.
I jesteś mi imię ruchów i poczynaniem słuchu,
który pojmie muzykę i sposób,
który z ładu posuchy wszędzie żywicą-duchem
w łodygę głosu.

1 III 1942

Pioseneczka

Kto mi odda moje zapatrzenie
i mój cień, co za tobą odszedł?
Ach, te dni jak zwierzęta mrucząc,
jak rośliny są — coraz młodsze.

I niedługo już — tacy maleńcy,
na lupinie orzecha stojąc,
popłyniemy porom na opak
jak na przekór wodnym słojom.

Czerwień krwi dziecinnie się wyśni
jako wzdęte policzki wiśni.

Metal burz się wywiedzie na nowo
zapienioną dmuchawca głową.

A łez grzmot jak lawina kamieni
w małe żuki zielone się zmieni

i tak w wodę się chyląc na przemian
popłyniemy nieostrożnie w zapomnienie,
tylko płakać będą na ziemi
zostawione przez nas nasze cienie.

16 I 1942

Z nocy

Ciepła ciemność na ramionach się oprze,
jest dobrotliwym zwierzęciem milczenia
ogromna i powolna. Jest cicho. Tak dobrze.
Słysząc jak się zabliznia stratowana ziemia.

Zdaje się to rośliny co łączą tak nieznacznie
drogi bojów żelaznych i serca w ciemności;
w niej czeka opłot ramion, w których sen się zacznie
sen wiary, sen miłości.

Zdaje się jesteś gazelą w cieniach, w huśtawkach wieczoru,
lub w chybotliwej wodzie pni zbrązowiałych sięć,
a możesz tylko ptakiem, co przeszedł bór upiorów
— moje ty światło na zawsze — więc leć.

Ciepła ciemność jak zwierzę ma na szyi ranę;
nie widzę, czuję dłonią płynie z niej cicha krew.
Nie bój się, gdy zaryczy ta ciemność, o kochana!
to jest już oswojony, zmniejszony czasem lew.

Biała magia

Stojąc przed lustrem ciszy
Barbara¹⁰ z rękami u włosów
nalewa w szklane ciało
srebrne kropelki głosu.

Kobieta

I wtedy jak dzban — światłem
zapełnia się i szkląca
przejmuje w siebie gwiazdy
i biały płyn miesiąca.

Światło, Ciało

Przez ciała drżący pryzmat
w muzyce białych iskier
łasice się prześlizną
jak snu puszyste listki.

Oszronią się w nim niedźwiedzie,
jasne od gwiazd polarnych,
i myszy się strumień przewiedzie
płynąc lawiną gwarną.

Aż napełniona mlecznie,
w sen się powoli zapadnie,
a czas melodyjnie osiądzie
kaskadą blasku na dnie.

Sen, Cisza

Więc ma Barbara srebrne
ciało. W nim pręży się miękko
biała lasica milczenia
pod niewidzialną ręką.

4 I 1942, 3 w nocy

¹⁰Barbara — imię to nosiła żona Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, z domu Drapczyńska (1922–1944). Poznała Baczyńskiego pod koniec 1941 roku, w czerwcu 1942 wzięli ślub. Zginęła podczas Powstania Warszawskiego. [przypis edytorski]

Promienie

Powietrze aniołów pełne,
a ich przejrzysty trzepot
jest jak natchnione ciepło
nad ognia złotą wełną.

Aniol

Dziewczynko, która fruwasz,
na ptaki rozmnożona.
Biały pył? Jasny potok?
Promień ścieżek jak złoto
na skrzydłach? Na ramionach?

Kobieta, Ptak

Kim mi jesteś? Kim jesteś?
Obłok snu purpurowy.
Cień przenika powietrze,
idzie ziemią i przeczy
puszystej rzeźbie głowy.

Smutek to czy czekanie?
Pośród organów blasku
jak dymu smukłe laski
lub słupy srebrnych puchów —
— bąki grających duchów.

Ileż muzyki cieplej!
Kim mi jesteś? Kim jesteś?
Utrwalony powietrzem
ptaku białego pyłu —
kim mi jesteś, czym jesteś —
pół-ptak, a pół-miłość.

Miłość

A.D. 42, 19 IV

Wróble

Dzień wróbli i jasności!
w dzbanuszkach małych ptaszków
świat się ustał miłością,
niefrasobliwą łaską.

Ptak

Na wyciągnięcie ręki
mam czystość ich, puszystość,
jakbym dotykał ciebie
gałęzią ich — wielolistną.

Niebo się ziemi skłania
leżąc śniegiem na drzewach,
oczy mrużysz, zasłaniasz,
piórka w blasku nagrzewasz.

Nie zerwiesz się, nastroszysz
ciepło ptasiego futra,

odpowiesz wróblim głosem
w moją ciemność — malutka.

Bo na tym śniegu ludzie —
— my z ciemnymi sercami.

Ziemio przez nas zabita,
rzeszą twych ptaków czystych
módl się za nami!

Modlitwa

2 I 1943

Miłość

O nieba płynnych pogód,
O ptaki, o natchnienia.
Nie wydeptana ziemia,
nie wyśpiewane Bogu
te drzewa, te kaskady
iskier, ten oddech nieba,
w ramionach jak w kolebach
zamknięty. Jak cokoły
drzewa z szumem na poły;
serca jak dzbany łaski,
takie serca jak gwiazdki,
takie oczu obłoki,
taki lot — za wysoki.

Słońce, słońce w ramionach
czy twego ciała kryształ
pełen owoców białych,
gdzie źródło zielony tryska,
gdzie oczy miękkie w mroku
tak pół mnie, a pół Bogu.

Ciało, Bóg

Twych kroków korowody
w urojonych alejach,
twe odbicie u wody
jak w pragnieniach, w nadziejach.
Twoje usta u źródeł
to syte, to znów głodne,
i twój śmiech, i płkanie
nie odpłynie, zostanie.
Uniosę je, przeniosę
jak ramionami — głosem,
w czas daleki, wysoko,
w obcowanie obłokom.

8 września 1942

Pragnienia

Co dzień kochając cię płacząc,
tęsknię za tobą — patrząc,
oczy mi popieleją,
wiedzą, że nie zobaczą.

Miłość

A z ciebie gorycz płynie
jak w niebo dym spokojny,
dzień jak liść kruchy się zwinie
i ptak, co w śpiew niezbrojny.

Przysiadają na mnie modlitwy
przelotne, ach, przelotne.
Elementarne bitwy,
trwożne, samotne.

Uczę się ciała na pamięć
i umiem. Widać dusza
jest jeszcze, która kłamie,
a we mnie śmierć porusza.

Ciało

Po snów kipieli ciemnej
szukam cię, tak się spalam,
ręce mi nadaremne
jak ptak, co gniazdo kala.

Sen

I może by w milczeniu
i w cierpieniu by może,
cóż, kiedy nocy grozę,
niedowidzeniu.

I takim ci ja hardy
jak ręce, co rycerzom
przypinają kokardy,
w których siłę nie wierzą.

I takim ci ja mocz, że
kiedy słów nie trzeba,
nie umiem stworzyć nieba
miłością w oczach.

czerwiec 42 r.

Z wiatrem

Basi

Jesień rok za rokiem idą,
gwiazdy jak deszcze szyby tną.
Zielone łanie na polanie,
u okien huczy serca bąk.

Nie płacz, kochana, lat złowrogich,
spod twoich rzęs zielony liść,
ptaki i drzewa trysną, drogi,
po których dalej trzeba iść.

Liście opadły. Wrócą liście
i modlitewne łuki gór,
przejdą ludzie w nienawiści,
zostanie trzepot ptasich piór.

Knieje się pienia — tylko pomyśl —
w powietrza falującym tchu
niedźwiedzi pomruk zacząjony,
niebieski jezior duch.

Nie płacz, kochana. Śpij w cierpieniu,
na dłoni mojej drżący ptak,
rzekom i mnie, i wiosen ceniom,
i miłowaniu lat.

Przejdzie łoskot burz gwiazdzistych,
nie stanie¹¹ ludzkich burz.
Nam, śpiewającym pieśni czyste,
serce rozetnie czas jak nóż.

Bo już kolebią aniołowie
imię — jak złote imię gwiazd,
próchnieje pod stopami czas,
zostaje wieniec chmur na głowie.

Bo już kolebią aniołowie
na niewidzialnych dłoni śnie
proste jak sosna, czyste dnie
rosnące w ptasim słowie.

29 października 1942

Śpiew do snu

Ciało mojego ciała i światło mojej myśli,
chciałbym, by ci się ogień pełen szelestu przyśnił,
z którego żółte kwiaty wypłusną, brzózek szelest
jak sieć, abyś poczuła przy ich lekkości śmielej
swój lot jak płomyk drżący, bolesny a pragnący,
by popłynęło w tobie jak szumny strumień słońce.

Ciało mojego ciała i blasku moich pragnień,
niech ci się we śnie gałąź niebieskiej chmury nagnie
i niech ci da jak owoc jaskółkę w piersi małe,
której by w sercu trzepot nauczył, jak kochałem
i jak ja ciebie ciosam w tej bryle nieobrotnej,
w swojego ciała drewnie, w myśli swojej samotnej.

¹¹nie stanie (daw.) — zabraknie. [przypis edytorski]

Czas, Przemijanie

Anioł

Sen, Ciało, Miłość,
Kochanek, Dusza

Ciało mojego ciała i trwogi mej nadziejo,
nich ci się we śnie wody przez oczy tocząc — chwieją
i niechże ci podadzą rybę jak dłoń, co klaszcze,
byś znała to milczenie, co mnie okrywa płaszczem,
i niechaj iskry ognia, co w lusce się zapalą,
mój blask dopełnią w tobie i smutek mój wyżalą.

Nie dałem ci jabłoni ziemskiej, co sytość niesie,
wyrosłem ja na chmurach jak dzika jabłoń w lesie.
Ale mam źródło w sercu srebrne jak żywy pieniądz,
unieś się we śnie, spojrzuj w lustro jego nad ziemią.
Nie szukaj mnie w słabości, źródła mego nie mijaj,
nie umiera w nim ciało, dusza wieczność w nim żyje.

22 VI 1943

[Niebo złote ci otworzę...]

Niebo złote ci otworzę,
w którym ciszy biała nic
jak ogromny dźwięków orzech,
który pęknie, aby żyć
zielonymi listeczkami,
śpiewem jezior, zmierzchu graniem,
aż ukaze jądro mleczne
ptasi świt.

Raj, Wiosna

Ziemię twardą ci przemienię
w mleczów miękkich płynny lot,
wyprowadzę z rzeczy cienie,
które prężą się jak kot,
futrem iskrząc zwiną wszystko
w barwy burz, w serduszka listków,
w deszczów siwy splot.

Przemiana

I powietrza drżące strugi
jak z anielskiej strzechy dym
zmienię ci w aleje długie,
w brzóz przejrzystych śpiewny płyn,
aż zagrają jak wiolonczel
żał — różowe światła pnące,
pszczelich skrzydeł hymn.

Jeno wyjmij mi z tych oczu
szkło bolesne — obraz dni,
które czaszki białe toczy
przez płonące łąki krwi.
Jeno odmień czas kaleki,
zakryj groby płaszczem rzeki,
zetrzyj z włosów pył bitewny,
tych lat gniewnych
czarny pył.

Wojna

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/baczynski-i-czesc-krzyz-czlowieczny>

Tekst opracowany na podstawie: Krzysztof Kamil Baczyński, *Utwory zebrane*, tom II, oprac. A. Kmita-Piorunowa, K. Wyka, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1994; Krzysztof Kamil Baczyński, 1942, 1943, 1944 (rękopis autora); *Z rodu Anhellich. Liryka pokolenia wojennego*, oprac. S. Stabro, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1991; Krzysztof Kamil Baczyński, *Kiedy się miłość śmiercią stała... Wiersze wybrane*, Wydawnictwo Orgelbrandów, Warszawa 1995; Krzysztof Kamil Baczyński, 12. *Wiersze wybrane 1940-42* (maszynopis autora); Krzysztof Kamil Baczyński, *I część: krzyż człowieczy* (rękopis autora).

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Tulicka, Aleksandra Sekuła, Katarzyna Dug, Maciej Rajski, Paulina Choromańska, Paulina Dubielecka, Paweł Kozioł, Sylwia Budzyńska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0050-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.